O *Kajciu* i *Naszych bzikach* w Ostrowi, o rozwiązłości płciowej Kurpiów, ciernistej drodze oświaty w gminie Orło oraz o powstaniu straży ogniowych w Stoczku i Lipkach

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie: Sierpień 1938 r. Kolonie letnie organizowane w Małkini przez Radę Szkolną m. st. Warszawy. Dzieci podczas posiłku na stołówce.
Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-N-2906-2.

Gość z gubernialnej Łomży nawiedził powiatową Ostrów i wielce się uradował, że spotkał tutaj kulturę, może nie tak wybujałą, jak w stolicy guberni, ale jednak kulturę, a dokładniej to jej wersję uosobioną w teatrze amatorskim. Dochodzą nas wieści, że ten wielce pożyteczny objaw życia kulturalnego, niegdyś uśmiercony za sprawą kina i telewizji ponownie odżywa w okolicy.

Po cóż badacze wybierają się do centrum Afryki czy na wyspy Oceanii celem badania obyczajów plemion egzotycznych, skoro pan Dominik Staszewski po raz kolejny dowodzi, że tuż pod naszym nosem żyje lud osobliwy i charakteryzujący się zwyczajami ekscentrycznymi pod wieloma względami. Ponownie zapraszamy na wspólną wyprawę w głąb pobliskiej, a tak mało znanej puszczy.

Jan Rzempołuch donosi z gminy Orło, że pomimo wielu możliwości, to ciężko idzie budowa nowych szkół w gminie, chlubnym zaś wyjątkiem jest tylko Małkinia, ciesząca się dobrym duchem, w postaci męża niespożytej energii, ks. proboszcza Leona Gościckiego.

Na koniec maleńka notka, z radosną informacją o powstaniu ochotniczych straży ogniowych w Stoczku i Lipkach.

Pan Zygmunt Z. zakomunikował, że wybiera się wielkim wycieczkowcem na rejs po morzach i pyta, co redakcja o tym sądzi. No cóż, nie będziemy owijać w bawełnę – współczujemy. Człowiek to istota lądowa i z własnej woli nie ma czego szukać na morzach.

Został Pan omamiony podobnie jak tysiące innych nieszczęśników. Niegdyś, nikt skusić się na takie oferty nie dawał, gdyż statki cumowały z daleka od lądu, a pasażerów dowoziło się łódką. Na sam widok wstrząsanego falami statku, a co dopiero rzucanej niczym korek łódki, odechciewało się wszelkich wojaży, więc co rozsądniejsi posiadacze kart pokładowych czmychali, co sił w nogach, a ten, co odważył się wejść do łódki, zaraz wyskakiwał, bo wolał szybko skonać niż skazywać się na powolną torturę morskiej żeglugi. Z braku klientów biura podróży bankrutowały, a co sprytniejsi właściciele wysyłali swych agentów do gospód, by pośród zawianej klienteli znajdowali chętnych do transoceanicznych ekskursji. Później przekupywano sędziów, a ci skazywali oskarżonych na rejs na antypody. Doprawdy, dziwimy się, że podobne Panu, stateczne, zamożne, otaczane ogólnym szacunkiem osoby decydują się z własnej woli na krok tak nierozsądny.

Zdajemy sobie sprawę, że nie posłucha Pan dobrej rady, a widząc statek stojący nie na cumowisku, ale przy nabrzeżu w cichutkim basenie portowym, gdzie woda jest spokojniutka niczym w domowej wannie, powie Pan – Ależ głupstwa wypisuje redakcja portalu.

Hola, hola, niech Pan nie szarżuje! Niech, no tylko statek wypłynie na morze, a wszystko potoczy się trybem utartym od wieków. Zacznie kołysać i żegnaj sielanko. Rychło odkryje Pan, czemu tak usilnie wciskano płatny z góry, zdawałoby się śmiesznie tani abonament na wszystkie posiłki, a gdyby chciał Pan płacić za każdy z osobna, to wypadłoby horrendalnie drogo. Bo i cóż z tego, że pasażerowie kuszeni są znakomitą kuchnią, skoro przez kolejne dni nikt nie przełknie choćby kęsa *pâté de Provence*, na sam zaś widok *Coq au vin* śmignie Pan do kajuty niczym sprinter… nie ma szans, nie zdąży Pan. Na szczęście personel okrętowy złapie mizeraczka pod ręce i błyskawicznie wyniesie na pokład widokowy. A cóż będzie miał Pan tam za widok! Pozazdrościć! Szeregi opartych o relingi ludzi dzielących się zawartością swych żołądków z szyderczo śmiejącymi się mewami.

Będzie Pan miał szczęście, gdy pod koniec pierwszego tygodnia zmusi się do spożycia kilku marynarskich sucharów i popicia ich łykiem wody z kranu, później jakaś grzanka i szklanka gorzkiej herbaty, wreszcie bulion z kostki… i koniec rejsu. A ileż to rozrywek na takim statku oferują! Ha, ha, ha… Gwarantujemy, że siny na twarzy, słaniający się na nogach będzie Pan prowadził żywot marny, ale za to skromny i nienaganny, a wręcz święty. To i tak optymistyczna wersja wydarzeń, bo słyszeliśmy o rejsach po morzu tak wzburzonym, że pasażerów przywiązywano do koi, aby nie powypadali, nie doznali złamań z przemieszczeniem i nie narazili towarzystwa żeglugowego na procesy odszkodowawcze. To ci dopiero frajda i to za własne pieniądze! Z utęsknieniem będzie Pan oczekiwał powrotu na ląd, a później odrzuci każdą, choćby i najatrakcyjniejszą propozycję morskiej eskapady.

No, chyba że jest pan pisarzem. Literatów choroba morska nie tyka, bo co wezmę marynistyczną książkę do ręki, to okazuje się, że cały statek, włącznie z obsługą womitował, a tylko pan pisarz, istny wilk morski korzystał ze wszystkich oferowanych rozkoszy. Niektórzy twierdzą, że choroba zwaliła z nóg nawet kapitana i tylko on, człowiek pióra, samotny niczym żagiel biały, stał przy sterze i wprawdzie nie wiedział jak, ale uratował statek i tysiące istnień od pogrążenia się w nieprzeniknionych odmętach.

Powyżej opisaliśmy standardowy przebieg rejsu, ale sprawy mogą przybrać obrót znacznie gorszy, gdyż wybrał Pan nader ryzykowny środek lokomocji, bo choćby takie pociągi nie toną prawie wcale, a za to okręty i owszem. W przypadku zatonięcia statku proszę bezzwłocznie powiadomić kapitana jednostki o tym przykrym zdarzeniu, a następnie udać się do oficera, celem uzyskania kluczyka do pakamery z kamizelkami ratunkowymi. Dalszą część tej beznadziejnej próby przemówienia Panu do rozsądku prosimy przeczytać kilkakrotnie, a najlepiej wykuć na pamięć, bo może zadecydować o pańskim przeżyciu, gdy w pobranej – koniecznie za pokwitowaniem – kamizelce wypłynie Pan na powierzchnię.

Zwykle woda w morzach i oceanach jest słona, natomiast informacje o jej szkodliwości są mocno przesadzone, gdyż choćby taka woda z kiszonych ogórków także jest słona, lecz jej właściwości okazują się zbawienne. Długotrwałe, uporczywe picie wody z ogórków nie jest jednak wskazane, a dotyczy to także wody morskiej, zwłaszcza że ta ostatnia ma posmak popłuczyn po moczeniu śledzi, a w takim smaczku nie każdy gustuje.

Musi Pan wiedzieć, że morskie otchłanie zamieszkują stworzenia zwane rybami. Gatunki ryb to: puszkowane, tuszki, płaty, filety oraz mrożone i świeże. Tej problematyce nie poświęcamy większej uwagi, gdyż jak sprawy się mają, może Pan zobaczyć i wyczuć w dziale rybnym każdego sklepu. Bardziej interesujący wydaje się podział ryb na miłe oraz niemiłe, co omówimy dokładniej. Do miłych zaliczamy choćby rybę delfin spokrewnioną ponoć z psem

labrador. O tym dość egzotycznym pokrewieństwie świadczy fakt, że oba te stworzenia wolą swobodnie hasać po łące lub wodzie, zamiast grzecznie chodzić na smyczy. Podobnie jak wzmiankowany pies także ryba delfin lubi być drapana za uchem. Spotkania z pełną wdzięku rybą delfin są przesympatyczne, a konwersacja relaksująca.

Do niemiłych zaliczamy rybę rekin. Proszę pamiętać, że ta z kolei ryba, to nie labrador i drapać jej za uchem nie należy. Podczas gdy widząc rybę wcześniej omawianą, warto przywołać ją gwizdem, wołaniem „taś, taś" itp., to w przypadku ryby rekin proszę tego nie czynić. Wskazane jest wręcz odganianie ancymonka zawołaniami w rodzaju: „odejdź", „poszedł", „do budy", „nie mam czasu", „czekam na tramwaj" itd. Można się także odwrócić od ryby rekin plecami, zrobić naburmuszoną minę i ją ignorować. W ostateczności proszę rzucić w gagatka unoszącym się na wodzie kawałkiem styropianu lub wypełnioną wodą torebką foliową – po to właśnie takie torebki unoszą się wszędzie na wodzie. Rzucanie czymkolwiek w kogokolwiek świadczy jednakowoż o złym wychowaniu, jest to więc broń ostateczna, stosowana wyłącznie w odniesieniu do wyjątkowo namolnych egzemplarzy ryby rekin.

W morzu są także czeluście, określane fachowo mianem rowów. Jeżeli wir wciągnie Pana w taki rów, to umarł w butach. Nie ma co marzyć o odbiciu się od dna i powrocie między żywych, gdyż dno takiego rowu jest z reguły nieoczyszczane, a tym samym muliste i usiane kaleczącymi stopy szczątkami opakowań szklanych wyrzucanych przez nadużywających trunków marynarzy.

Jednym z najważniejszych warunków przeżycia na morzu jest orientacja w przestrzeni. Gdzie dół, a gdzie góra tego specjalnie tłumaczyć nie trzeba, więc skupimy się na innych aspektach tego ważnego zagadnienia. Istnieją dwa bieguny – mniej więcej na północy umiejscowiono północny, na południu zaś południowy. Bieguny wschodni i zachodni, jeżeli nawet istnieją, to nie zostały jeszcze odkryte. Ziemia, która według wielu jest kulą[1], wciąż się obraca – nawet w nocy i w święta, zarówno w te kościelne, jak i państwowe. Do orientacji na morzu służą wiadomości nabyte w harcerstwie. Z nadesłanego listu wynika, że jest Pan osobą wyjątkową pedantyczną, dbającą o wygląd zewnętrzny, więc z pewnością nie rozstaje się Pan z igłą i nicią. Delikatnie położona na wodzie igła zawsze obróci się ku północy, nitka zaś pozostanie na południu.

Załóżmy jednak, że nie jest Pan osobą aż tak pedantyczną i nie przemierza oceanicznego przestworu w asyście galanterii pasmanteryjnej. W tym przypadku ponownie sięgniemy po doświadczenia skautowskie. Jak dowodzi literatura marynistyczna, na powierzchni morza zawsze unoszą się kawałki drewna z rozbitych przez sztormy żaglowców. Mchy, porosty i wodorosty egzystują na północnej stronie takiego kawałka. Proszę wziąć drewienko do ręki, obrócić i ustawić tak, aby strona omszała, jako mniej estetyczna znajdowała się poza pańskim wzrokiem. Tam właśnie jest północ, w kierunku przeciwnym południe, na prawo wschód, a na lewo zachód.

Proszę jednak pamiętać, że na północy wszelkie paskudztwa obrastają drewno bez żadnych kierunkowych preferencji. Jeżeli znajdzie Pan tak haniebnie poobrastany kawałek, to jeszcze lepiej. Nie trzeba już nim obracać, bo północ jest po prostu przed pańskimi oczami, a pozostałe kierunki jak wyżej. Płynąc więc przed siebie, wyląduje Pan w Korei Północnej, w stronę zaś

[1] Rozpowszechniony, a niesprawdzony pogląd o kulistości ziemi zawdzięczamy podobno lobbingowi producentów globusów.

przeciwną też w Korei, tyle że Południowej. Poruszając się na lewo, natrafi Pan na Berlin Zachodni, na prawo zaś na Władywostok lub Kaliningrad. Polska także ma swój port, a nazywa się Ustka. Podobno istnieją i inne, ale tylko ten w Ustce redakcja widziała na własne oczy, więc istnienia pozostałych nie możemy stanowczo potwierdzić.

Starzy druhowie powiadają, że gdy zgubimy się w lesie, to należy poruszać się z biegiem odnalezionego potoczku, a dalej rzeczki i rzeki. Tym sposobem zawsze odnajdziemy ludzką siedzibę, chyba że brzeg jest bagnisty, to wtedy niczego nie odnajdziemy i nas nie odnajdą. Także na morzu warto poszukiwać rzeki. Jeżeli dajmy na to, zauważamy, że wody morskie zaczynają przybierać piękną modrą barwę, to niechybnie znajdujemy się w pobliżu ujścia Dunaju. Jeżeli zaś morska toń mętnieje i staje się żółtawa, to znak, że niewiele nas dzieli od ujścia rzeki Huang He. Gdy już wiemy, z jaką rzeką mamy do czynienia, to znamy i nazwę nadmorskiego miasta, do którego zmierzamy. Ta prawie zawsze związana jest z nazwą danego cieku wodnego, choć polskie słowo „ujście", może być zastąpione słowem zagranicznym, np.: Świnoujście, Wisłoujście, Peenemünde.

W identyfikacji miejsca, do którego przypłynęliśmy, pomocnym może okazać się język, jakim posługuje się ludność tubylcza: chiński – *Chinatown*; włoski – *Little Italy*; rosyjski – *Brighton Beach*; polski – *Greenpoint* lub *Jackowo*. Może też Pan wylądować na wyspie, czyli lądzie zewsząd otoczonym wodą. Wyspy dzielą się na: małe – Wolin; większe o białych skalistych brzegach – Brytania; większe, ale porośnięte intensywnie zieloną roślinnością – Irlandia; duże, które tylko z trudem można objąć wzrokiem – Austria (albo coś w tym rodzaju, możliwa pomyłka w pisowni). Są też wyspy tak małe, że nieskatalogowane. Takie podłych rozmiarów wysepki, łączą się dla bezpieczeństwa w stada zwane archipelagami. Są tak małe, że z trudem mieszczą więcej niż jedną, góra dwie osoby, więc jeżeli znajdzie się Pan na takiej godnej pożałowania wysepce, to warto zadbać o dobre towarzystwo. Dajmy na to, że jakiś obywatel powita tam Pana słowami:

– Pik, witam pik, pik, pik skąd pik, pik, pik człowieku pik tu pik się pik, pik wziąłeś?

Oznacza to, że trafił Pan na osobnika z gatunku polityk, który w rozmowie prywatnej używa przede wszystkim słów zastępowanych dziwnymi dźwiękami lub wykropkowywanych w mediach. W tym przypadku proszę wracać do morza i poszukać innego azylu.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie” nr 89 z 05 listopada 1902 r.]

Z Ostrowia piszą do nas: Narzekają na naszą prowincję, na jej nudę, na brak rozrywek, któreby dla życia bezbarwnego, podzielonego w miarowych odstępach na godziny biurowe, obiadowe, poobiedniej drzemki i wieczornego obmawiania wad swego bliźniego, dały choć trochę wrażeń odmiennych, umysłowych i estetycznych, któreby łącząc towarzystwo, więcej do siebie zbliżały, budząc uśpioną myśl z letargu, dając korzyści moralne, bo wszak nie jednym chlebem człowiek żyje, jak mówi stare przysłowie.

Do takich rozrywek, do takich łączników towarzystwa należą przedstawienia amatorskie, które jednak tak rzadko urządza prowincja, gdy te stanowczo tylko korzystnie na jej życie i obyczaje wpływać mogą.

Myśli te wyrażam, będąc pod wrażeniem przedstawienia amatorskiego, urządzonego w tych dniach w Ostrowiu na rzecz odnowienia sali teatralnej straży ogniowej i powiększenia jej dochodów.

Grano trzy sztuki: *Kajcio*, Dobrzańskiego, *Z rozpaczy*, Gawalewicza i *Nasze bziki*, H. Piątkowskiego. Prócz tego urządzono dwa żywe obrazy: Poppea i Ligja z Quo Vadis i Pojedynek Bohuna z Wołodyjowskim z Potopu Sienkiewicza.

Reżyserji i amatorom należy się najszczersze uznanie i wdzięczność za sumienne wypracowanie swych ról, za żywość całej akcji, śmiałość i werwę, godną prawdziwych artystów. Po każdym akcie teatrzyk trząsł się od sutych oklasków.

Rolę jarmarcznego adonisa Kajcia, letniej córy na wydaniu Ksawerci, energicznego Henryka, sentymentalnej cioci Pelci, przeżytego rotmistrza, Gertrudy z jej mediumistycznym kochankiem panem Roszonko, twórcę czwartego wymiaru Wirskiego, ślicznej dowcipnej Madzi, Dziubkiewicza, Impresjonisty, Dekadenta – wykonane były, jak na amatorów bez zarzutu. Teatrzyk pełen był śmiechu i kilkakrotnych oklasków. W zachwyt wprawiły wszystkich śliczne, dekorowane żywe obrazy, które odtwarzano kilkakrotnie.

Przedstawienia obyły się w sobotę i niedzielę. Dochód z soboty użyto na opłacenie kosztów urządzenia i odnowienia teatrzyku, zaś około 100 rubli dochodu z niedzieli wpłynęły na powiększenie dochodu kasy straży ogniowej. A więc przyjemne z pożytecznym.

Słowem dla reżyserji i wykonawców należą się słusznie zasłużone laury i słowa szczerej zachęty, które śmiem tu wyrazić.

Gość z Łomży.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie” nr 4 z 14 stycznia 1903 r.]

MORALNOŚĆ I UMORALNIENIE KURPIÓW

(Dalszy ciąg)

Najogólniejszą podstawę do swobodniejszych i wczesnych stosunków płciowych w ogóle między ludem wiejskim widzimy przede wszystkim w bezpośredniej i ciągłej styczności jego ze światem zwierzęcym od najwcześniejszego dzieciństwa, następnie – w ciągłym również i bezpośrednim przebywaniu dzieci z ludźmi starszemi, a zwłaszcza z rodzicami, którzy ze swoimi stosunkami najczęściej przed dziećmi zupełnie się nie kryją, a przynajmniej mało wystrzegają. Nic więc dziwnego, że wyobraźnia dziecięca rozbudza się bardzo wcześnie, a właściwa ludzkiemu usposobieniu jeszcze od nieboszczyka Adama ciekawość i ponętność zakazanych owoców, do skosztowania ich podnieca. Zaspokojenie więc głównie ciekawości rozbudzonej wyobraźni zależy przede wszystkiem od nadarzającej się ku temu sposobności, do reszty zaś demoralizuje coraz więcej wzrastająca zmysłowość. Nie brak sposobności do zbliżania się dzieci w ogóle między ludem wiejskim, na Puszczy jednakże, gdzie bory są naokoło i tak blizko wiosek, że prawie w każdej czerwienieją tuż za budynkami, a nawet wtłaczają się i na podwórza Kurpiów, wreszcie, gdzie paśniki najczęściej są po borach i lasach i w ogóle mało jest miejsc otwartych, a przynajmniej zupełnie swobodnych od różnych krzów i zarośli, dzieci kurpiowskie na wsi i na pastwiskach mają znacznie więcej swobody i sposobności, niż w innych okolicach kraju, do ciągłego zbliżania i wzajemnego objaśnienia się w kwestjach sekretnych.

Sama więc puszcza potęguje wczesne rozbudzanie się ciekawości płciowej dziecka i sposobność do jej zaspokojenia, wynikające już z ogólnego sposobu życia ludu wiejskiego. Nierównie więcej puszczańskie życie i wychowanie kurpiowskie, przyczynia się do rozbudzania i szybkiego wzrostu zmysłowości dzieci. Właściwie mówiąc – trudno tu powiedzieć o wychowaniu w całym znaczeniu tego wyrazu, gdyż w ogóle w ludzie wiejskim dzieci są więcej oddane samym sobie i raczej same się wychowują, a tem bardziej na Puszczy, jednakże, zawszeć rodzice i w ogóle starsi mają nad niemi jaki taki dozór i w tym znaczeniu o wychowaniu chcę właśnie pomówić, przy tym, żeby nie powracać więcej do tej kwestji i objąć ją w całość, nie tylko o dozorze pod względem płciowym, ale i ogólnym wychowaniu dzieci. Tu więc właściwie będę mówił nie tylko już o moralności, ale i o umoralnieniu Kurpiów, gdyż umoralnienie całych mas ludu wiejskiego może się uskutecznić tylko przez umoralnienie młodszych jego pokoleń przez odpowiednie ich wychowanie, jakie względem ich jest więcej dostępne i wykonalne, tak ze względu na zależność ich od starszych, a zatem i możność stosowania do nich środków pedagogicznych i wychowawczych, jak również i ze względu na to, że młodsze pokolenia nie zdążyły jeszcze nabrać z życia wielu wad i złych przyzwyczajeń, a wskutek tego nie trzeba tu jeszcze nic burzyć i wykorzeniać, co jest niezmiernie trudnym – a nawet wprost niewykonalnym.

Mówiąc o wychowaniu dzieci ludu wiejskiego w ogóle, pomijam kwestję nauczania ich i rozumienia pacierza i w ogóle wychowanie religijne, gdyż to samo przez rozumie się i na tej jedynie podstawie można budować jakiekolwiek umoralnienie ludu. – Chciałbym tylko zwrócić uwagę na wiele objawów, których lud wiejski zupełnie nie spostrzega, lub uważa za mało

znaczne, a które same lub w połączeniu z innemi wydają doniosłe rezultaty, naturalnie w znaczeniu ujemnym.

Może kto powie, że w ogóle zwracanie uwagi na cokolwiek jest niczym więcej, jak przelewaniem z próżnego w puste, gdyż po cóż zwracać uwagę na to, na co i tak każdy patrzy? Otóż na każdym kroku możemy to sprawdzić, że samo *patrzenie* nie jest *widzeniem* tego, na co patrzymy, dopóki w to patrzenie nie włożymy – myśli. Nieraz przechodzimy, lub przejeżdżamy przy jakimkolwiek nawet dość znacznym przedmiocie, jak np. drzewie, lub budynku i nie wiemy później, że ono się tam znajduje, gdyż patrzyliśmy nań bez myśli, *nie zwróciliśmy na niego uwagi*.

Zbytecznym by też było dowodzić, że na co jedni tylko patrzą, to inni widzą i tym ostatnim nieraz nawet i przez myśl nie przejdzie, żeby inni tego nie widzieli.

Lud wiejski stojąc na nizkim poziomie umysłowym mało w ogóle myśli natęża i zadawalnia się przeważnie bezpośredniemi wrażeniami zmysłowemi, a tym samem tylko patrzy na wiele rzeczy, ale ich nie widzi i spostrzega dopiero, gdy mu kto na nie zwróci uwagę i nieraz chętnie korzysta z owego błysku myśli.

(C. d. n.)

Dominik Staszewski

[„Zorza” nr 20 z 19 maja 1917 r.]

Z gminy Orło.

(pow. Ostrowski ziemi Łomżyńskiej).

Kiedy czytam w „Zorzy” wiadomości z różnych stron kraju o tem, jak to ludzie garną się do oświaty i pracy społecznej, smutno mi się robi, że w naszej gminie taki brak światła, brak szkół. W całej gminie Orło była zaledwie jedna szkoła, w której przecież niepodobna było umieścić wszystkich dzieci. A przecież jeszcze przy rządzie rosyjskim można było budować szkoły, a nawet uzyskać na to zapomogę i drzewo na budowle. Ale cóż, kiedy nasi gminniacy nie umieli i nie chcieli z tego skorzystać. Potrzebę szkół rozumiało tylko kilku światlejszych gospodarzy; wielu zaś krzyczało na zebraniach gminnych, że szkół nie chcemy, że one nam wcale niepotrzebne. Dopiero dzisiaj widzą ci krzykacze, jak pobłądzili, i wstyd im, że na przykład taka gmina Zaręby wybudowała trzy szkoły murowane i jedną drewnianą i że ma gdzie umieścić swoje dzieci, aby rozumu nabrały i wyrosły na obywateli kraju.

Ale przeglądają już i nasi gospodarze widząc ten ruch oświatowy, jaki obecnie wszędzie się rozwija.

Pracuje tu gorliwie prezes Macierzy ks. szambelan Gościcki z Małkini, gdzie już założył szkółkę. Umieścił ją czasowo w domu ludowym i uzyskał dla niej zasiłek od władz okupacyjnych.

Prócz tego dzięki księdzu Gościckiemu powstało już 5 ochron i kilka szkół prywatnych, za co czcigodnemu pasterzowi ślemy staropolskie „Bóg zapłać”! Prosimy tylko, aby ks. Gościcki

zwrócił swe oczy i w północną stronę naszej gminy, w stronę wsi Gunkowo, Złotorji Starej i Nowej, które to wioski najbardziej są upośledzone, gdyż leżą w odległości 20 wiorst od gminy a 10 do najbliższej szkółki. Ciemni tu jesteśmy i ciemne nasze dzieci, bo nie mogą korzystać z nauki. Ale mamy nadzieję, że spojrzy i w naszą stronę czcigodny kapłan, i że ujrzymy wreszcie i w naszych wsiach szkoły.

Zawinili nasi ojcowie, że nie dbali o nas, ale nie czas dzisiaj winy wytykać i siedzieć z założonemi rękoma. „Pieczone gołąbki nie wpadną same do gąbki", trzeba pracować wspólnie, ująć się za dłonie i iść naprzód. Dzisiaj możemy się jednoczyć w koła, więc korzystajmy z tego i zakładajmy towarzystwa rolnicze, gdzie będziemy mogli się zbierać i naradzać nad naszemi potrzebami.

A kiedy poprawi się u nas, to napiszę znowu do „Zorzy". Milej by nam było, żeby mówiono o nas dobrze, ale kiedy dobrze nie jest, to trudno usta zamykać… Kończąc ten list, życzę wszystkim moim braciom, by nam jak najrychlej zaświeciła jutrzenka, wolnego i oświeconego Królestwa Polskiego.

Gminniak Wasz i czytelnik „Zorzy"

Jan Rzempołuch.

[„Zorza" nr 33 z 18 sierpnia 1917 r.]

Nowe straże ogniowe. W Stoczku i pobliskich Lipkach (w powiecie węgrowskim), organizują się obecnie dwie straże ogniowe ochotnicze.

Rada Stanu Królestwa Polskiego, wrzesień 1918 r.
Ks. Leon Gościcki stoi w drugim rzędzie od dołu jako dziewiąty od lewej, pomiędzy przedsiębiorcą i filantropem Mojżeszem Pfefferem (z brodą), a ks. Włodzimierzem Bronisławem Jasińskim (w okularach), późniejszym biskupem sandomierskim i łódzkim.
Źródło: *Wacław Saryusz-Wolski, Public domain, via Wikimedia Commons*.